

Między polityką a etyką: uwagi o dyskursach politycznej poprawności. Dwugłos krytyczny

Ambiwalencja wszechobecnego dziś zjawiska „politycznej poprawności” objawia się na wielu dyskursywnych płaszczyznach – i być może właśnie dlatego mało kto potrafi zachować wobec niego obojętność. Oscylująca w strefie liminalnej pomiędzy politycznym dyskursem państwa a etycznym dyskursem indywidualnych wyborów „polityczna poprawność” – pierwotnie postulowana jako środek mający na celu nadanie żarliwej wielokulturowej debacie amerykańskich lat osiemdziesiątych formy cywilizowanego dialogu – przybrała dziś kształt dyskursywnego konstruktów o wielu obliczach. W pewnych kontekstach centralne pojęcie niniejszej debaty objawia swą naturę jako oczywiste narzędzie władzy albo staje się etykietą konotującą polityczną lub społeczną obłudę. Jednocześnie – celowe zastosowania tego negatywnie dziś kojarzonego terminu często okazują się retorycznym środkiem za pomocą, którego można dyskwalifikować lub dezawuować działania, gesty lub dyskursy etycznie trudne lub niemożliwe do zakwestionowania, lecz z jakichś względów „niewygodne”. Dynamika prezentowanego tutaj „dwupokoleniowego” dwugłosu wskazuje, że podstawą zrozumienia amorficznej natury „politycznej poprawności” jest świadomość możliwych celów, którym zastosowanie tego pojęcia może służyć, ale także – co istotniejsze – stanowi punkt wyjścia do szerszej debaty na temat etyki w kontekście dominujących metanarracji, które marginalizują inne, być może „niewygodne” lub niepokojące dyskursy.

Djelal Kadir¹ i Paweł Jędrzejko²

Przypisy:

¹ Djelal Kadir wykłada w Penn State University. Jest prezydentem-założycielem Międzynarodowego Towarzystwa Studiów Amerykanistycznych IASA, którego oficjalne strony znajdują się pod adresem <http://www.iasaweb.org>. Adresem internetowym Centrum Wymiany Myśli IASA jest <http://www.iasa.us.edu.pl> [serwis udostępniony został na serwerach Uniwersytetu Śląskiego].

² Paweł Jędrzejko jest pracownikiem Instytutu Kultury i Literatury Brytyjskiej i Amerykańskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Polityczna poprawność a światopoglądowy aparat korekcyjny państwa

Wszystko zaczęło się dosyć niewinnie, bo od leksykalnej nielogiczności – swobodnego *non sequitur*. Założeniem tejsze było uczulenie dyskursu publicznego na specyfikę wrażliwości innych w kontekście wielokulturowej epoki, której historia nadała później znaczące miano ery „wojen kulturowych”. W tamtym okresie, w Stanach Zjednoczonych lat osiemdziesiątych, nie prowadziło się wojny przeciwko terrorowi, lecz przeciwko kulturze pojmowanej jako szczególny etniczno-rasowy konstrukt. Celem „politycznej poprawności” była taka modulacja opozycyjnych głosów w trwającej podówczas burzliwej politycznej debacie, która pozwoliłaby zaszcześcić elementy cywilizowanej formy ostrej wymianie zdań. Mniej więcej dwadzieścia lat później metamorfozy tego zjawiska przełożyły się na współczesną rzeczywistość „państwa ponad prawem”, a sama „polityczna poprawność” funkcjonuje teraz jako element wypracowanego przez owo bezkarne państwo „światopoglądowego aparatu korekcyjnego” – narzędzia nacisku, służącego eliminacji postaw dysydenckich oraz egzekwowaniu ideologicznej zgodności z oficjalnym światopoglądem. Od Seneki do Cyncerona i od Orwella do Auerbacha – filologowie zawsze mieli świadomość, iż trajektoria morfologii leksemów służy jako szablon formacji politycznych i jest historycznym wyznacznikiem przemian społecznych. Losy „politycznej poprawności” potwierdzają trafność tej głębokiej obserwacji.

Nieunikniony rygor wyvodu naukowego każe nam dziś dostrzec, że z punktu widzenia historii i logiki „polityczna poprawność” jest oksymoronem: coś jest albo *polityczne*, albo *poprawne*. Mit, iż cokolwiek może być jednocześnie polityczne i poprawne jest wytworem wyrachowanej decyzji o jego powołaniu oraz politycznej strategii *polis*, które postrzegało siebie jako jaskrawe zaprzeczenie gminności wiejskiego *gminu* (ang. *villany of the ville*), czy pogańskiej natury *pagusa*. Jako swoisty socjokulturowy „morfem”, „polityczna poprawność” posiada moc określania, skutkiem czego po dziś dzień wywiera wpływ na rzeczywistość, legitymizując różne jakości jako poprawne (bez względu na to, czy istotnie są dopuszczalne lub legalne, czy też nie), o ile te ostatnie są bezpośrednio powiązane z funkcjonowaniem *polis* – i tym, co polityczne. W tym sensie „polityczna poprawność” historycznie emanuje z metropolii i rozprzestrzenia się na zewnątrz, w wyniku czego kryteria poprawności dla peryferii definiuje centrum – choćby nawet języki współczesnej krytyki zdekonstruowały tę dychotomię i skazały ją na banicję. Dynamika władzy i moc wartościującego określania bytów rezydują niezmiennie w centrach – przeświadczonych o swoim ośrodkowym statusie bez

względu na dobiegające z różnych stron sprzeczności i wbrew argumentacjom, które dowodziłyby czegokolwiek innego – zaś wartościujące sądy wydawane na mocy sztywno usankcjonowanego przywileju tejże centralności mają wciąż znaczenie najwyższe.

Tak jak w przypadku nienaruszalności zasad gramatyki i metodycznej systematyczności, poprawność stanowi niepodlegającą kwestionowaniu formułę, która sprawuje rządy jako najwyższa zasada i niepodważalna norma. Polityczność, przeciwnie, zawiera się w negocjacjach dotyczących sposobu orzekania – i jest nieuniknionym kompromisem dającym w efekcie wybór opcji najmniej szkodliwych dla wszystkich negocjujących stron. Polityczność desygnuje przewidywalnie mniejsze zło. Poprawność wskazuje niemożliwość alternatyw wobec tego, co poprawne, czyli tego, co już *ipso facto* uznaje się za dobre. Łącznie, polityczność i poprawność mogą być w najlepszym wypadku katachrezą, a w najgorszym – antynomią. Nie mówimy tutaj o sprzeczności, ponieważ sprzeczności podlegają negocjacjom. Antynomie nie poddają się takiej formule ustalania sądów, bowiem brak im wieloznaczności, a ten wyklucza możliwość *ujednornaczania*. A więc bez względu na to, czy antynomia jest nominalna, czy normatywna – nazywa i rządzi *albo* jako nominalna, *albo* jako normatywna – lecz w każdym jednak razie nie jako nominalna i normatywna *naraz*. W pewnym zatem sensie funkcjonuje tak, jak gramatyka i gramatyczność: syntagmatyczne konstrukcje są albo *gramatyczne*, albo *niegramatyczne*. Sprzeczności natomiast rządzą się prawami odwrotnymi, dzięki czemu elementy sprzeczne – twierdzenie po twierdzeniu, zjawisko po zjawisku – podlegają rewizji i poddają się przemianie bądź to na drodze negocjacji, bądź w wyniku interpretacyjnych odczytań.

Ostatecznie więc, jako antynomia, „polityczna poprawność” zapewnia sobie żywotność opierając się na aparacie nacisku, na czynnikach, które można byłoby określić mianem *politycznych* – a więc podtrzymuje ją przy życiu siła *polis* i tego, co *polityczne*, a dla polityczności, bez względu na koszty i okoliczności, poprawność jest wartością optymalną. Ponieważ w warunkach nakazowości i przymusu wszelkie negocjacje muszą okazać się płonne, polityczność ostatecznie poddaje się normatywności, która powoduje, że ta ostatnia przestaje podlegać osądowi. A raczej, w takim kontekście, polityczność staje się tak samo absolutna jak jakikolwiek imperatyw kategoryczny. Kiedy polityczność stanie się imperatywem – szczególnie, jeżeli ów imperatyw kamufluje maska poprawności – od imperialnego abso-lutyzmu dzieli ją tylko maleńki krok: kroczek na bardzo stromym stoku. Żyjemy w politycznie poprawnych czasach.

Największa groźba, jaka wiąże się z politycznością jako imperatywem, tkwi w utracie tego, co przez polityczność zostaje wykluczone poza przestrzeń publicznego dyskursu. Elementem, który polityczny imperatyw eliminuje ze sfery publicznej, nie jest tegoż imperatywu *antynomia* (czyli poprawność) ale jego *antyteza* (czyli komparatyw). Jeżeli imperatyw jest uniwersalny, to komparatyw jest relacyjny. A zatem jeżeli uniwersalium, rozprawiwszy się już z groźbą relacyjności, pozostałoby na polu walki samotne, wówczas nie podlegałoby dłużej negocjacjom, nie przysługiwałaby wobec niego żadna apelacja i – jeżeli do tego obstawałoby

niezmiennie przy swej poprawności mimo jej paradoksalnej, oksymoronicznej natury – musiałyby się stać absolutem. Kto nie idzie z nami, ten unieważniony.

„Polityczna poprawność” nie jest zjawiskiem nowym. Każda nowinka, jaką to zjawisko wydaje się nam dziś oferować w świetle współcześnie obowiązujących mód – w istocie rzeczy tkwi korzeniami w polityce kulturowej Stanów Zjednoczonych ostatniego ćwierćwiecza XX stulecia. W tamtym okresie polityczna poprawność była oksymoronem względnie „oswojonym” – pozostającym, jak już zaznaczałem, w służbie kulturowego pluralizmu i pełniącym funkcję moderatora opozycyjnych twierdzeń lub sprzecznych roszczeń w ogniu wielokulturowej debaty. Pomimo wewnętrznego paradoksu, „polityczna poprawność” miała wówczas za zadanie zapewnić ciągłość otwartej kulturowej debaty i spowodować, aby sfera publiczna dostroiła swoją wrażliwość do wielokulturowego dyskursu tak, by była w stanie odbierać przekaz środowisk opozycyjnych i przyjmować kontrargumenty wysuwane wobec argumentów własnych. Polityczna poprawność miała niwelować napięcie doprowadzające do agresywnych werbalnych ataków, a modyfikując ton wypowiedzi wniesić w tę debatę cywilizowane formy dialogu i przenieść je następnie w sferę stosunków społecznych i politycznych.

Historia, niestety, wykazuje zdolność odzwierciedlania nielogiczności dyskursu. Sfera publiczna jest bowiem niebezpieczną areną, na której wcześniej czy później polityczny język musi się popłatać – zwłaszcza, jeżeli cechuje go celowa lub niezamierzona służebność wobec politycznych interesów. Polityka wcześniej czy później zrówna się z leksyką – a to, co od początku było zwichnięte, w nieunikniony sposób podlegać będzie kolejnym skrzywieniom. (Zjawisko to celnie uchwycił George Orwell, a ostatnio, raczej niefortunnie, zademonstrowali nam jego mechanizm inni, historycznie mniej odlegli George’owie.) Trzeba jednak przy tym zauważyć, że potencjał efektywności leksykalnego oportunistycznego przybierać formy stosowne do politycznych potrzeb danych czasów.

Ewidentnie, jako pokrętnie i zwichnięte uniwersalium „polityczna poprawność” psuje uniwersalium dobre imię. Podobnie jak pod koniec dwudziestego wieku patologię etnocentryzmów i etnonacjonalizmów okaleczyły i poważnie osłabiły to, co wspólnotowe, tak na początku XXI wieku „polityczna poprawność” stała się rakiem, żerującym na tym, co uniwersalne. Choroba wyszła z fazy utajnionej dokładnie w tym czasie, kiedy mikronarracje postmodernizmu objawiły swoją zjadliwość i okazały się równie śmiertelne, jak wielkie metanarracje hegemonicznego modernizmu, które te pierwsze miały ostatecznie rozsadzić od wewnątrz.

Wyzbywszy się więc tego, co stanowiło o użyteczności nowoczesności i wyrosłych z niej „post-izmów”, zwróciliśmy się znów ku niedorzecznemu prymitywizmowi atawistycznych duchów przeszłości, które podnoszą zgiełk żądając czystości moralnych zasad i „politycznej poprawności”, która przeplata się z prawością dyktowaną zastraszeniem i gorliwością eschatologii spraw ostatecznych. „Polityczna poprawność” jako warunek wstępny apokaliptycznej soteriologii to myto, które nie podlega negocjacji: jeżeli odmówią zapłaty, odszczepieńców czeka potępienie, a buntowników – neutralizacja. W przestrzeni takiej „politycznej poprawności” jedynie chętni mogą włączyć się w *polis*; niechętni zaś, aby się „poprawili”,

muszą zostać poddani działaniu „korekcyjnego aparatu uniwersalnej prawdy” oraz „absolutnego uniwersalium zwicznętego kategorycznego imperatywu poprawności” – niezależnie od tego czy w świecie obowiązują jakieś międzynarodowe prawa i czy istnieją uniwersalne normy.

Jak więc można dziś sprawnie poruszać się w trudnym obszarze prawości i uczciwości ogarniętym „polityczną poprawnością” dnia dzisiejszego, jeżeli jedynymi narzędziami rozpoznania terenu są naukowy wgląd i krytyka kultury? Bez wątplenia – ostrożnie. Uczciwie i szczerze – to oczywiste. Lecz jeśli tak się złoży, że domeną czyichś dociekań i jednocześnie przedmiotem krytyki będzie absolutne uniwersalium „politycznej poprawności” – co wtedy? W takim właśnie, zdecydowanie niewygodnym położeniu znajduje się współczesny amerykańista, a już z pewnością badacz i krytyk sięgający w swych amerykańistycznych dociekaniach poza arbitralnie wytyczoną, ograniczoną wymogami współczesnej „politycznej poprawności” i opisaną za pomocą oficjalnych parametrów dziedzinę, przestrzeganie granic której ściśle egzekwują oficjalnie umocowane, profesjonalne organizacje.

Dylematy te jednak nie będą dotyczyły amerykańistów, którzy na wskroś przeżywają wzrokiem misterną sieć „politycznej poprawności” i patrzą przez nią niczym przez otwarte na oścież okno. Taka niczym nie zamglona wizja może jednak być przywilejem jedynie tych obdarzonych ostrzejszymi umysłami i szerszymi zdolnościami, tych błyskotliwych i szybkich, którzy rozkwitają w każdych warunkach. Amerykanista bardziej rozważny, unikający komentarzy, lecz wierny własnym emocjom, tak jak kronikarz z Herbertowskiego *Raportu z oblężonego miasta* czuje się w obowiązku spisywać „historię oblężenia” – nawet, jeżeli nie jest pewny dla kogo to czyni.

Polityczna poprawność a autopoprawki. (Antyrefleksja?)

Niezależnie od wniosków płynących z teorii przytoczonego powyżej wywo-
du, nie sposób nie dostrzec, iż w praktyce kulturowej współczesnego świata za-
chodniego określenie „polityczna poprawność”, jeżeli zastosuje się je w stosunku
do czyichś wypowiedzi lub działań, jest zazwyczaj znacznikiem deprecjonujące-
go stanowiska komentatora, lub też – jako określenie z pozoru pozytywne – funk-
cjonuje w charakterze substytutu mniej lub bardziej złośliwych słów krytyki. *De
facto*, użycie tego terminu niemal nigdy nie konotuje jakichkolwiek wartości po-
zytywnych i dlatego też współcześnie samo pojęcie wydaje się raczej być instru-
mentem negacji aniżeli elementem pozytywnej propozycji.

Na pierwszy rzut oka – trudno się temu dziwić. „Ziejąca przepaść” między
tym, co polityczne a tym, co poprawne wydaje się być „uniwersalnie” dostrzegana
przez wszystkich tych, którzy centralnego dla niniejszych rozważań określenia
używają, *summa summarum*, całkiem słusznie. Jest bowiem jasne, że relacja, jaka
zachodzi między „politycznością” a „poprawnością” to raczej związek rzędu niż
zgody i trudno byłoby dowodzić twierdzenia przeciwnego – szczególnie w kon-
tekście obowiązującego uzusu. I istotnie, niemal nie sposób oprzeć się wrażeniu,
że słowa i działania stają się „politycznie poprawne”, kiedy ewidentnie nie mogą
być poprawne *po prostu*¹.

Podążając takim torem myślenia łatwo zauważyć, że poprawność – jeżeli de-
terminuje ją „polityka” – staje się nieuchronnie kategorią całkowicie polityce pod-
porządkowaną i w ten sposób zatracą swój pierwotny sens, czyli sens wynikający
z dynamiki dominującej metanarracji, którą przyjmuje (bądź dziedziczy) dana
wspólnota wartości². Z tego też powodu pojęcie „politycznej poprawności” przy-
wodzi na myśl popularny niegdyś, oparty na grze przydawek dowcip, zakorzenio-
ny głęboko w PRL-owskiej rzeczywistości:

Pytanie: Jaka jest różnica między „demokracją” a „demokracją socjalistyczną”?

Odpowiedź: Taka sama, jak między „krzesłem” a „krzesłem elektrycznym”.

Ponieważ jednak sens samego wyrazu „poprawność” jest produktem relacyj-
nego postrzegania, trudno sobie wyobrazić taką „poprawność”, która mogłaby
nie być „polityczna”. Bez wątpienia to, co dla jednych „poprawne”, gdyż pozostaje
w zgodzie z ich zbiorem indywidualnych przekonań i preferowanym systemem
wartości, które to czynniki zbiorczo determinują kształt polityki o węższej lub
szerszej skali – dla innych, marginalizowanych przez taki dyskurs, nie będzie ni-
czym innym aniżeli „krzesłem elektrycznym”. W świetle powyższego, zaprezen-
towana w pierwszej części niniejszego dwugłosu dyskusja nad „tym, co politycz-
ne” i „tym, co poprawne” wydaje się zasadzać na nostalgicznej *życzeniowości*.

Odnosi się bowiem wrażenie, że wynika z pragnienia „poprawności *poza politykę*”. I mimo że prowadzony w niej wywód jest „świadomy”, iż takie rozwiązanie jest niemożliwe – jego Autor, przedstawiając „korekcyjne działania państwowego aparatu nacisku” jako czynnik dający w rezultacie „polityczną poprawność” jako absolut, zdaje się pomijać milczeniem fakt, że nie istnieje i nigdy nie istniało państwo (czy jakakolwiek zhierarchizowana zbiorowość), które zadowoliliby się kompromisem w kwestii „poprawności”. Państwo wymaga patentu na *ostateczną poprawność* – a nawet, jak nietrudno wykazać, na *ostateczną prawość*.

Nie istnieje poprawność bez metanarracji i nie istnieje metanarracja całkowicie apolityczna. Tak jak wszystkie dyskursy dominujące, także i późnokapitalistyczny dyskurs władzy państwowej rości sobie do „poprawności” wyłączne prawo: zmierza do tego, by „wziąć poprawność w posiadanie”, osadzić ją ponad i poza ilościowym czy jakościowym wartościowaniem – i nieodwołalnie uczynić ją „poprawnością zinstytucjonalizowaną”. Precyzyjniej rzecz ujmując, najpotężniejsze lobby w państwie dążą do stworzenia obowiązującego języka, który zdezawuowałby inne języki; władza państwowa aspiruje do wykształcenia takiej metanarracji, w której pojęcie „poprawności” nie mogłoby określać niczego poza tym, co wyznaje – i czego „naucza” – samo państwo czy szerzej: elita dzierżąca władzę.

Jednak nawet gdyby przyjąć, że przesłanie Djelala Kadira należy rozumieć w kategoriach czegoś, co można byłoby określić „etyką samoświadomą” lub „niezależną od państwowej”, nie sposób nie zauważyć, że argumentacja uczonego (ostatecznie potępiająca zjawisko „politycznej poprawności”) pomija niezmiernie istotny aspekt użycia samego pojęcia czy może dokładniej – pomija konsekwencje jego *nadużyć*. Kwestionując sens i wagę „politycznej poprawności” jako konstruktu dyskursywnego i przedstawiając „polityczną poprawność” jako instrument władzy, dyskusja nie dotyka kontekstów, w których ten termin znajduje przewrotne zastosowanie właśnie dzięki swojej złej sławie. „Polityczna poprawność” staje się często słowem--kluczem w argumentacji, której zamierzeniem jest zdyskredytowanie działań lub wypowiedzi niewygodnych dla ich komentatora, kwestionujących zasadność jego systemu wartości lub w jakiś sposób zagrażających jego planom. Najogólniej rzecz ujmując, pominięte przypadki zastosowania terminu „politycznej poprawności” w takiej argumentacji występują w kontekstach, w których pozornie przeciwstawne bieguny omawianej tutaj dychotomii/antynomii/binarnej opozycji mogą się w istocie pokrywać.

Z jednej strony są to sytuacje, w których kwestia „poprawności tego, co poprawne” jest regulowana prawnie. W takich wypadkach, rozróżnienie między „tym, co poprawne” a „tym, co niepoprawne” jest równoznaczne z rozróżnieniem między „tym, co legalne” a „tym, co nielegalne”. W tym kontekście grupy dominujące używają etykiety „politycznej poprawności” dla oznaczenia działań i języka, które „jeszcze nie są nielegalne”, więc nie mogą być eliminowane za pomocą środków nacisku, ale też nie są ani instytucjonalnie promowane ani wspierane, ponieważ mogłyby potencjalnie rzucić „etyczny cień na poprawność tego, co legalne”. Z kolei przedstawiciele grup opozycyjnych użyją tej samej etykiety dla określenia języka i działań, które wspierają to, „co zalegalizowane i usankcjono-

wane”, a co opozycja oczywiście uważa za „niepoprawne”, bo marginalizujące niewygodne poglądy i ludzi. W takim układzie, „polityczna poprawność” postrzegana jest przez grupy opozycyjne w kategoriach podporządkowania się dyskursywnemu „aparatu korekcyjnemu” – a więc jako układność lub oportunizm.

Z drugiej strony, są to wszystkie inne sytuacje, w których termin „politycznej poprawności” stosuje się w odniesieniu do tego, co jest „poprawne”, ale po to jedynie, by tę poprawność zakwestionować. W takich kontekstach „poprawność” nie jest jeszcze zdefiniowana prawem, ale sens tego pojęcia determinuje dynamika dominujących norm społecznych i obyczajowość grup w społeczeństwie dominujących (nie: elit politycznych). Dynamika ta manifestuje się wyraźnie w „pęknięciach”: w relacji między dyskursem wartości wyznawanych i praktyką zastosowania wartości, oraz wszędzie tam, gdzie kulturowa Inność jest marginalizowana.

Tak przedstawiona robocza kategoryzacja odzwierciedla założenie, iż „poprawność tego, co poprawne” (której sens jest relacyjny i zależy od rozróżnień oraz nieciągłości dominującej metanarracji i dyskursów przez nią kontekstualizowanych) zasadniczo opiera się na fundamencie *dobrej wiary*. Należy przy tym zaznaczyć, że *dobra wiara* nie jest w żadnej mierze pojęciem „niewinnym”: wszak historycznie rzecz ujmując, wiara (religijna, naukowa, polityczna lub dowolna inna), będąc podstawą wyborów, okazuje się często pierwotnym motywatorem wszelkich nieporozumień i konfliktów. Irracjonalna, narażona na ataki i niemierzalna, wiara stanowi swoiste odbicie indywidualnego niepokoju – a jako taka zależy od dyskursów konwersji/nawracania oraz wymierzonych przeciwko lękowi narracji o orientacji terapeutycznej. Z tego też powodu poddaje się zewnętrznej manipulacji – choć trzeba przyznać, że skutecznym antidotum na *Angst* okazuje się często krytyczna autorefleksja, a dzięki temu wiara może ulegać procesom reorientacji „niezależnej” od czynników zewnętrznych. Mimo to, nie jest do końca odporna na oddziaływanie skorelowane z „politycznymi” projektami przyszłości uwzględniającymi jednostkę, której indywidualny projekt starają się dostosować do własnych ci, którzy posiadają władzę i narzędzia służące „poprawianiu” projektów „niepoprawnych”.

Aby zilustrować powyższe obserwacje najwygodniej jest zacząć od sfery oczywistości. Fakt, że osoby o podstawowej świadomości krytycznej nie używają niektórych określeń należących do sfery konotatywnie obciążonego słownictwa rozmawiając, na przykład, na tematy powiązane z historią prześladowań etnicznych czy rasowych – nie jest kwestią „poprawności politycznej” rozumianej negatywnie: jako układność czy hipokryzja. W ich przypadku taka rezygnacja jest działaniem poprawnym *bona fide*. To działanie poprawne w kategoriach *etycznych*, ponieważ mówcy *wiedzą*, iż pewnego typu słownictwo zakorzenione jest w historii okrucieństw, upodlenia i nienawiści – i *wierzą*, że nie zasługuje na nie żadna istota we wszechświecie. Uważają więc, że świadome użycie obciążonych tragiczną historią sformułowań w odniesieniu do kogokolwiek jest celowym lub nieodpowiedzialnym powielaniem – a więc także ponownym wprowadzeniem w życie – dyskursu dyskryminacji, co wiąże się z reinstytucją wynikającej z niego pogardy dla drugiego człowieka. Co więcej, takie „po-

prawne etycznie” zachowanie językowe jest jednocześnie poprawne w kategoriach politycznych. Mówcy bowiem *wiedzą*, że nieużywanie deprecjonujących lub upokarzających określeń służy jedności *polis* – i *wierzą*, że w dłuższej perspektywie taka świadomość języka przyczynia się do eliminacji napięć społecznych, stanowiących często przyczynę eskalacji przemocy i źródło konfliktów.

A jednak mimo że tak pojmowana „polityczna poprawność” może się znacząco przyczynić do poprawy stanu relacji społecznych (a w konsekwencji – warunków życia), mimo że jako taka jest zjawiskiem społecznie wskazanym i ze wszech miar etycznym – codzienna praktyka kulturowa często „zbywa” podobne zachowania drwiną, przypisując im etykietę takiej „politycznej poprawności”, gdzie przydawka jest ewidentnie kwalifikatorem negatywnym. Na przykład, negatywne reakcje wobec „żartów” podtrzymujących wzorce niesprawiedliwych relacji społecznych, akty poparcia dla grup zmarginalizowanych czy nawet używanie neutralnego słownictwa – to zachowania, które czasami spotykają się z „pseudopoparciem” ze strony przedstawicieli różnych dominujących grup politycznych i społecznych po obu stronach Atlantyku wyrażanym poprzez odwołanie do „politycznej poprawności”.

Innymi słowy, poprawne zachowania i poprawny język często wywołują drwiący komentarz, który – pozornie zalecając proponowaną przez oryginalnego mówcę postawę jako ważną i cenną – dyskredytuje jej poprawność jako „polityczną poprawność”, jak gdyby komentator imputował niemożliwość dobrej wiary swojego interlokutora lub niemożliwość poprawności pewnych zachowań *poza* i *ponad* obowiązującymi tu i teraz modami. Niestety, szydercze reakcje wobec etycznych zachowań, których merytorycznie nie sposób podważyć, nie tylko frustrują, ale także powodują dezorientację wśród tych, którzy szanują autorytety. Szczególnie, że przypadki występowania takich reakcji są częste w wielu środowiskach uznawanych za opiniotwórcze, włącznie ze środowiskiem naukowym.

Obecność absurdalnie „usprawiedliwianych” domniemaną obłudą „politycznej poprawności” przypadków podtrzymywania rasistowskich, seksistowskich, fallogocentrycznych, neokolonialnych czy ogólnie szkodliwych praktyk kulturowych daje się łatwo zauważyć, lecz rzadko takie akty wywołują reakcję sprzeciwu. W przestrzeni społecznego i politycznego dyskursu milczenie wokół postaw, które promują dyskryminację i ostatecznie stają się przyczyną cierpienia, jest po części wynikiem *odium*, jakie narosło wokół „politycznej poprawności”.

Osoby publiczne, które mogłyby skutecznie zareagować przeciwko przypadkom rasizmu, seksizmu czy innych zachowań wynikających z krzywdzących dyskursów, uczeni i politycy, którzy mogliby publicznie zająć stanowisko sprzeciwu wobec rodzącej nienawiść polityki – często sprawiają wrażenie, jakby powstrzymywali się od działania, obawiając się może utraty wiarygodności i/lub głosów, jeśli któryś z przeciwników politycznych miałby przypiąć im łatkę „politycznej poprawności”. Wydaje się zatem, że aby uniknąć etykiety „walczącego ideologa”, „kreującego *image* własnej prawości hipokryty” czy „oportunisty” – czyli wszystkiego tego, co w popularnym dziś rozumieniu denotuje termin „polityczna poprawność” – jednostka musi się stać „polityczna”, a więc musi przyjąć postawę

oportunizmu. Aby nie zostać zdyskredytowanym jako mówca czy aktywista „politycznie poprawny”, trzeba *dokonać wyboru*: zdecydować się na to, że nie będzie się zauważało szkodliwości krzywdzących projektów politycznych wynikających z partykularnego interesu grupy dominującej – i odstąpić od jednoznacznego występowania przeciwko niej. Takie użycie pojęcia „politycznej poprawności” stanowi oręż politycznej retoryki i służy „eleganckiemu” ośmieszeniu tych, którzy podejmują działania (lub otwarcie wyrażają sprzeciw) wobec indywidualnych lub instytucjonalnych aktów krzywdzących ludzi bądź podtrzymujących niesprawiedliwe stosunki społeczne, albo – na przykład – odmawiają wsparcia dla centralistycznych dyskursów w różnych dziedzinach studiów akademickich.

Dlatego też jest istotne, żeby mieć na względzie, iż negatywny stosunek wobec zjawisk przypisanych „politycznej poprawności,” którego zasadność wykazuje przedstawiona w pierwszej wypowiedzi niniejszego dwugłosu zaawansowana filologiczno-filozoficzna argumentacja, staje się często bronią w ręku tych, którzy manipulują tym pojęciem po to, by osiągać własne polityczne cele. Akademickie argumenty wymierzone w „polityczną poprawność” (które automatycznie zaczynają się stosować do obiektów oznaczonych jako „politycznie poprawne”), dzięki swemu autorytetowi mogą okazać się w codziennej praktyce szczególnie groźnym narzędziem nadużyć. Choć argumentacja Djelala Kadira zmierza przede wszystkim ku wskazaniu konieczności depolitycyzacji etyki albo – dokładniej – uczynienia polityki etyczną, to jednak ani jego tekst, ani inne powstające w dobrej wierze akademickie wypowiedzi nie są w stanie się obronić przed zaprzęciem w kierat politycznego dyskursu, jeżeli same siebie nie dekonstruują. Dostrojone do politycznej retoryki przez odpowiedni dobór kontekstów – mogą wbrew własnym założeniom skutecznie służyć temu, kto zechce je wykorzystać do realizacji prywatnej bądź instytucjonalnej, zorientowanej na partykularny interes polityki. „Zła sława” pojęcia okazuje się bardzo „poręczna” – szczególnie, jeżeli jej zasadność usankcjonuje swoim wywodem naukowy autorytet. W takich sytuacjach wykorzystanie „politycznej poprawności” pozwala mówcy „profesjonalnie” zdeprecjonować niewygodne wypowiedzi lub gesty przeciwników politycznych i jednocześnie usankcjonować jako *poprawne* swoje własne, niekoniecznie etyczne, stanowisko. Warto więc, jak się wydaje, nieco uważniej przyglądać się postawom, działaniom i słowom, które często zbyt pochopnie potępia się jako „politycznie poprawne”, aby nie uszło naszej uwadze to, co po prostu *poprawne*, a w związku z tym – żebyśmy nie zmarnowali okazji do wprowadzenia do własnego (naukowego bądź codziennego) myślenia jakiejś istotnej (*bona fide*) „autopoprawki”. Szczególnie, że przed wszystkimi innymi, pierwszym adresatem „historii obłączenia” jest każdy z nas, także ja.

Przypisy:

¹ Etymologia słowa „poprawność” zwraca uwagę, że właściwe, a zatem poprawne, jest to, co „po prawie”, czyli zgodne z prawem – czy to zwyczajowym (normą) czy też skodyfikowanym (państwowym). Jest wobec tego jasne, że z punktu widzenia etymologii wyraz „poprawny” odnosi się do bytów spełnia-

jących wymagania pewnego zespołu reguł, bez względu na to, czy owe zasady są wynikiem społecznego konsensusu, negocjacji, czy też odgórnej, arbitralnej decyzji. W tym sensie, poprawność jest pojęciem relacyjnym i podległym ewolucji.

² Pojęcie „pierwotnego sensu” stosowane w tej części wypowiedzi nie odnosi się do jakichkolwiek wartości transcendentnych; *sens* rozumiem tutaj jako wykładnik relacyjnego poznania/wiedzy/epistemologii. Podzielając przekonanie Djelala Kadira, iż „polityczna poprawność psuje dobre imię uniwersaliom”, jestem jednak zdania, że uniwersalia straciły dobre imię znacznie wcześniej: wtedy, kiedy stały się przyczyną cierpienia po raz pierwszy. Jeżeli będziemy je postrzegać z takiej perspektywy, wówczas staje się oczywiste, że uniwersalia nigdy nie cieszyły się uniwersalnie uznawanym dobrym imieniem, a precyzyjniej rzecz ujmując można nawet twierdzić, że ci jedynie bronią uniwersaliów, którzy je głoszą. Pojawienie się politycznej poprawności nie jest więc ani jedynym, ani najważniejszym czynnikiem spośród tych, które wpłynęły na proces w wyniku, którego uniwersalia straciły dobre imię.